









# Nad wielką wodą

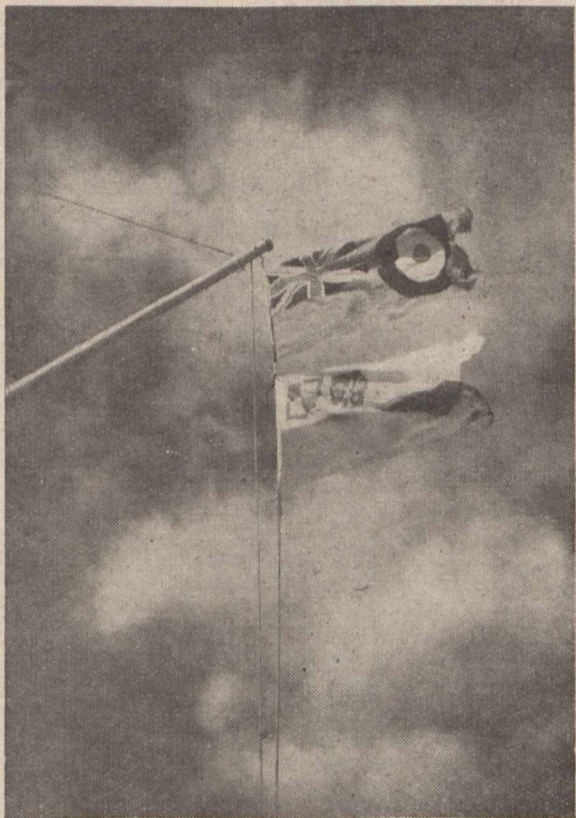


foto Krydner

Mgła morską zachodziła co wieczór gęsta i lepka, a ranki nuryły lotnisko w strumieniach deszczu i żółtego błota, choć wiosna stała w pełni. Pobliskie wzgórza grały zielonością i rozsypanym na zboczach kwieciami — my odpowiadaliśmy w dolince niezmiennie wodą. Dziwne, jak przyroda nieraz potrafi być złośliwa. Zналиśmy wtedy tylko trzy rodzaje pogód: mgła, deszcz i ulewa — innej nie było. I w strumieniach deszczu bębniących o blaszany dach baraków wyłaziliśmy co ranka z nawilgłych po zimnej nocy łóżek,

Mgła nadchodzi. — I poklepał mnie po ramieniu tak serdecznie i bratersko jak tylko on to umiał. — Przyjdzie czas przekonasz się, nadejdzie pogoda.

I przyszły dni, nabrzmiały i rozedrgane gorącem. Gdy z nieba lał się ołów, a nam pot wsiąkał w "Mae-Westki." Gdy mewy sploszone hukiem silników uciekły z lotniska.

Wtedy zaczęła się wojna.

W jeden z tych pięknych, wyzłoczonych dni, gdy cumulusy chodziły pojedynczo jak strzępy waty rzucone na wiatr, a horyzont stał się z wodą, przyszedł krótki, suchy meldunek, że niemiecki

Gdy Hitler przez usta Goeringa i Raedera zapowiedział, że wojnę wygra *Luftwaffe* i potężna flota *U-Bootów*, walkę podjęły nieliczne podówczas eskadry myśliwskie R.A.F. i Wielka Niemowa — *Royal Navy*. Zaczęła się bitwa o życie Wysp Brytyjskich, o być lub nie być! Bitwa, która miała zdecydować o losach całej tej wojny.

Niemiecka ofensywa lotnicza załamała się prędko, ofensywa podwodna rozwijała się groźnie i wspaniale. Historia to kiedyś powie, ile setek tysięcy żyć ludzkich ta ciemna, ponura broń działająca z zasadzki i z ukrycia, posłała na dno oceanów. W ciemnych, posępnych salach Admiralicji w Londynie, toczyła się wówczas narada, której wyniki dały znać o sobie dopiero w rok później i które przejść miały najśmielsze oczekiwania.

Samotna *Navy* walcząca na wszystkich frontach z najwyższym poświęceniem i ponad swe siły, nie mogła sprostać zadaniu i rozdzielona płaciła na Atlantyku najwyższą stawkę. Nowe środki walki rozwijały się szybko, lecz nie tak szybko, jak tego wymagało życie. Przeciężone laboratoria pracowały dniem i nocą starając się znaleźć wyjście z impasu, ratować flotę, ratować statki. A zatapiający tonaż rósł w postępie geometrycznym.

Wtedy to padło słowo: **LOTNICTWO!** Jedynie i wyłącznie Lotnictwo. Rozbudowane, wielkie, potężne. Przystosowane do wymagań chwili i rodzaju pracy, specjalnie trenowane. Mogące obejmować siecią swą dziesiątki tysięcy mil i jeśli nie zniszczyć okręty podwodne, to wykryć je, umiejseować i podać flocie "do wykończenia."

Wówczas weszła na widownię druga Wielka Niemowa — *Coastal Command*. Pracując w cieniu starszych, uznanych i bardziej "rasowych" rodzajów lotnictwa, z charakteru wykonywanych zadań przesadnie skromna i stroniąca od reklamy, przez swoich i cudzych niesłusznie niedoceniana i lekceważona, dała koncert ogromu pracy i poświęcenia, który zadziwił świat. W ciągu kilkudziesięciu miesięcy położyła niemiecką ofensywę podwodną. Początkowo na przestarzałym sprzęcie, w najgorszych warunkach atmosferycznych, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi na krańcach zasięgu maszyn, patrolowała, walczyła, atakowała wszędzie, gdzie tylko niemiecka siła podwodna znajdowała się w promieniu jej działania. Reszty lokoowała *Navy*.

Przybyły do Anglii pierwsze nieatakowane konwoje, wyszedł rozkaz powrotu wszystkich niemieckich okrętów podwodnych do baz. Przed sukcesorem Raedera, admirałem Doenitzem stanęło widmo klęski, klęski broni, która po lotnictwie była największą nadzieją Rzeszy. I tu myśl niemiecka poszła śladami myśli brytyjskiej: na lotnictwo postanowiono odpowiedzieć lotnictwem.

W tym czasie, po upadku Tunisu duże siły *Luftwaffe* zajęte dotychczas w basenie Morza Śródziemnego zostały nagle zwolnione przez utratę swych baz i zmianę planu operacyjnego. Wywiązała się możliwość użycia tych sił w Bitwie o Atlantyk. Ostatnia szansa Niemiec.

Zrobiono wszystko co można. Długi pas lotnisk zachodniego wybrzeża Francji zapelniał się maszynami. Stare, najbardziej doświadczone załogi, najlepszy, najnowocześniejszy sprzęt. Zatoką Biskajską zmieniła się na Dzikie Pola Atlantyku. Tam gdzie dawniej chodziły na żer w smukłe albatrosy lub przemykała samotna mewa, teraz w poszukiwaniu żeru krążyły nowe, drapieżne ptaki. Szły w jęku silników i łomocie śmigieł formacje maszyn niemieckich.

Na potężnym, ogromnym pasie 11.000 mil kwadratowych zaczęło być ciasno. Uciekał ptak, uciekał i zwierz morski płoszony wybuchem bomb głębinowych i ogniem broni maszynowej. Uciekał pojedynczy, biały "Wellington" w zwiewne, kłębiaste strzępy cumulusów pod morderczym ogniem przeciwników, górujących przewagą i liczbą. Zaczęły się łowy nieznanne na tych wodach.

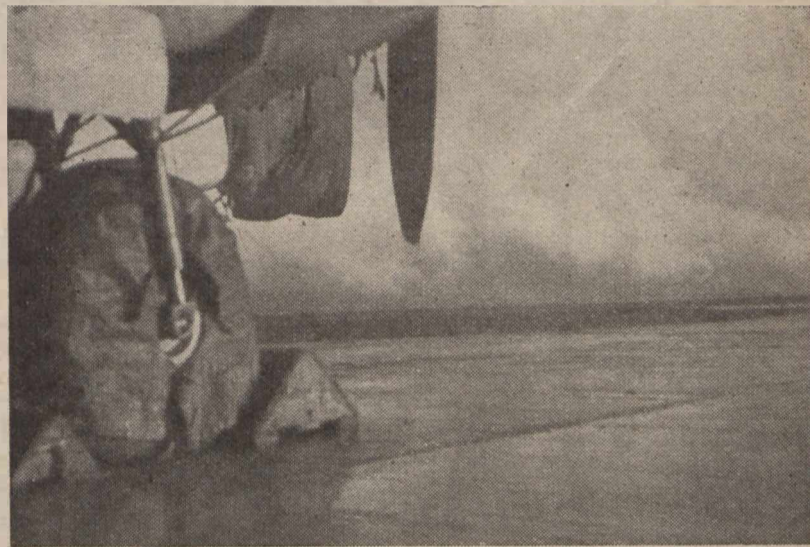
Na zanurzone lub idące na po-

wierzchni okręty polowały korwety i samotne "Wellingtony" w dalekim towarzystwie innych, mocniejszych kolegów — czterosiłnikowców. Na nie czaiły się uzbrojone po zęby "Ju 88" lub smukłe "Me 110," w osłonie chmur lub nad samą wodą, zwinne i niewidoczne. Zabójcze! Na te z kolei, czekały gdzieś na tysiącach stóp, szybkie jak myśl "Mosquito" i ociężałe od działek "Beaufighter'y."

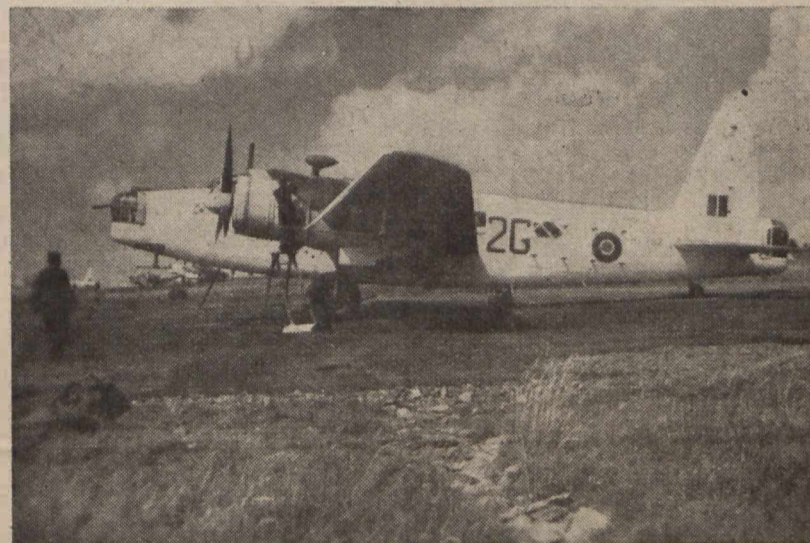
Zaczęła się walka, nie brano jeńca. Trup padał gęsto. Wy-

chleb powszedni. Lecz te, które spotkały większą ilość, nie wraçały.

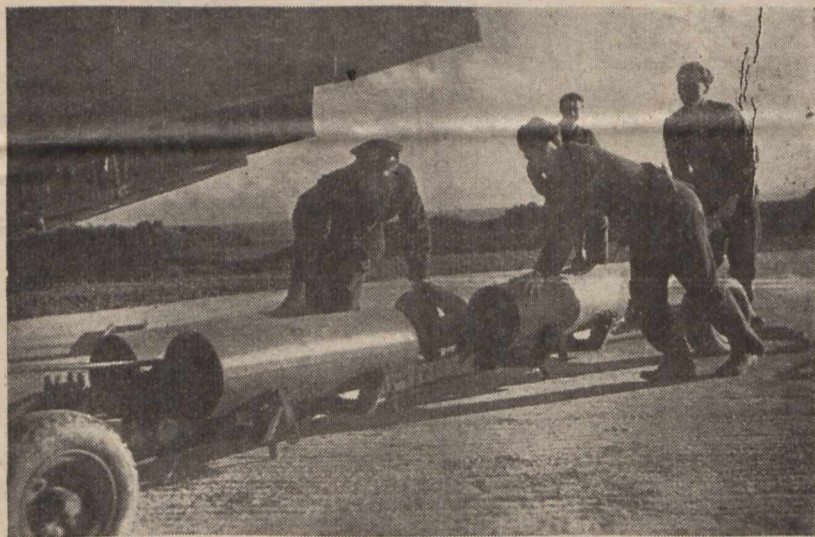
Zaczęły ginąć maszyny bez wieści. I Władzio, co to w bridge'a ogrywał gości. I "Dziobanek," co twarz miał jakby mu diabeł ogonem pysk młocił i tyłu, tyłu innych kolegów i towarzyszy serdecznych. Nastaly takie czasy, że najstarsze wygi Dywizjonu, najstarsze niedotopki podobnych nie pamiętały. Zaczęło się ciasno robić na Biskajach. Dywizjon ściął i zamari,



Nad brzegiem "wielkiej wody"



"Biała trumna" gotowa do lotu



Podwożenie bomb



Przygotowania do startu

by wciągnąć mokrą bieliznę i przykryci czym kto miał nieprzemakalnym, biec pół mili do kasyna na mycie i golenie.

"Wellingtony" rozkładały się w rdzy, a my w rozpacz.

Wiktor jednak się nie przejmował, pamiętał bowiem lepsze czasy i nowe lotnisko traktował z pogardliwą wyższością. W jeden z tych dni, gdy pogoda była wyjątkowo dobra i tylko zwykle, stratusowe chmury chodziły po lotnisku, za każdym otwarciem drzwi wdzierając się do baraków, Wiktor jak zawsze wesół powiedział:

— "Spójrz na lotnisko, widzisz te nasze białe "trumny"? Za pół godziny już ich nie zobaczysz.

myśliwiec zestrzelił nam "Wellingtona." Wiedzieliśmy... wszyscy, lecz wciąż czekaliśmy na powrót tej załogi i późno w noc mrugały nikłym blaskiem czerwone oczy okiennic baru.

Na próżno.

A potem wszystko stało się jakoś tak szybko, że trudno wprost wyłowić z pamięci i uporządkować chronologicznie tę masę faktów nieraz drobnych, nieraz ważkich, które nad Wielką Wodę przyniosły zew wojny, jakiej te morza jeszcze w swych dziejach nie oglądały, które wśród Wielkich Wtajemniczonych przyniosły im nazwę pierwszego pola bitwy świata. Bitwy o Atlantyk.

brukowały Biskaje płatami białego cellonu "Wellingtony." Zmarszczyły morze rykoszetami kul i trzaskiem łamanych o wodę śmigieł. Zmąciły powietrze wirami ciasnych uników, stożkami czarnych dymów z płonących maszyn.

Czasem zauważono w przełocie małą, żółtą *dinghie* — niemy krzyk rozpacz. Na wioleś mil od bazy. Zauważono przypadkiem. Zwykle? . . .

Niemcy wychodzili taką siłą, że "Wellington" nie mógł przyjąć i tak już nierównej walki — ginął, nim zdążył nadać depeşe o walce. Spotkania z pojedynczymi myśliwcami stały się czymś tak nieważnym, że nie opłacało się o nich nawet i wspominać. Ot głupstwo,

wszyscy gorączkowo myśleli jak wybrnąć z sytuacji i jakie znaleźć wyjście. Zaczęliśmy latać taktycznie, kluczyć, jak lisy przemysłnie i chytrze. Lecz w ostatnie dni sierpnia los ciężki i zły, zabrał nam jedną z najbardziej lubianych załóg Dywizjonu: "Lodzie" i "Chrabaszczka," w przepiękną słoneczną pogodę /w bazie naturalnie padał wtedy deszcz!/. Nadali nam tylko dwie litery meldunku, że są atakowani. DWIE LITERY . . . pomyślcie!! Trzecia przeszła w krótką kreskę — jęk . . .

Dyżurna telefonistka w "Operation" miała tej nocy zapuchnięte od płaczu oczy. Piliśmy do białego rana.

JERZY GŁĘBOCKI

Przy motorze







